



MIESZANE TOWARZYSTWO



IRENA
KRZYWICKA



 SAGA
EGMONT



MIESZANE TOWARZYSTWO



IRENA
KRZYWICKA



Irena Krzywicka

Mieszane towarzystwo

opowiadania dla dorosłych o zwierzętach

Saga

Mieszane towarzystwo

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1961, 2021 Irena Krzywicka i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726774306

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

Pan Prezes WKO

Przybycie jego do naszego domu miało charakter nadnaturalny. Zapowiedziała go Pitia. Na pewnym przyjęciu jedna z pań, znana z osobliwego daru jasnowidzenia, siadła przy mnie i poczęła mi przepowiadać przyszłość. Nie posługiwała się przy tym ani liniami dłoni, ani kartami. Ot, patrzała komuś w twarz i mówiła. Nic z tego nie rozumiem i nie próbuję wytłumaczyć. Zdaję sprawę po prostu. Powiedziała między innymi, że wkrótce będę miała zwierzę. „Niestety – odparłam – mamy umowę z gospodarzem. Nie wolno nam trzymać psów ani kotów; a ptaków w klatce nie lubię”. „Mimo to zwierzę będzie – odparła pani – i to takie, że dużą rolę będzie grało w waszym życiu”. Mieszkałam wówczas w mieście, tak że ani bydło, ani drób nie mogłyby wchodzić w rachubę. Wóciłam do domu i oczywiście nic. Minął miesiąc, dwa, i nic. W trzecim miesiącu przyjechał jeden z naszych przyjaciół z Gdyni, nie wiedzący nic o przepowiedni i...

Otworzył małą, skórzaną walizkę. Z walizki wyprysnął rudy płomyk i zaraz po chwili załśnił na szafie. Z szafy spłynął na podłogę, no i hyc, z mebla na mebel... Wiewiórka!

Po chwili siedziała już na stole, wsparta o sztywno stojący pióropusz ogona, na każdym uszku puszysta kępka, oczki ptasie patrzące na boki, nie do przodu, zęby wystające jak u starej Angielki, wyraz małej chudej twarzyczki, właśnie twarzyczki, nie pyszczka, bardzo łobuzerski. Z cech ludzkich jeszcze ta pionowa postawa i łapki przednie w kształcie rączek, nie owłosionych i

chwytnych. Podałam orzech, chwyciła w rączki, obróciła parę razy nerwowo, obejrzała dokładnie i zaczęła piłować przednimi zębami, aż zafurczało. Nie dopiłowawszy do końca, rzuciła orzech, rozejrzała się niespokojnie, pobiegła truchcikiem na brzeg stołu, uwiesiła się na jego krawędzi tylnymi łapkami, zajrzała pod stół, jak zestrachana paniusia szukająca złodzieja albo zazdrosny mąż szukający gacha. Tylko kita sterczała nad blatem, a cała reszta, wisząca na tylnych pazurkach w powietrzu, spenetrowała przestrzeń podstolną, po czym hyc, z powrotem na blat, i z gorączkowym pośpiechem za orzech, i znów frurr, furr, odpadła skorupka, wyłuskało się białe jaderko i znów po nim zębami jak tarka, już cicho, ale tam i z powrotem. Cieniutkie ostrużyny bez żucia, od razu przeznaczone do łykania. Nagle orzech cisnęła w połowie, bo niestety usposobienie miała chaotyczne, i hop, na firankę, do szczytu, na sam gzyms. Na stole zostało parę malutkich, twardych bobków.

Miała rację pani P mówiąc, że zwierzątko odegra dużą rolę w naszym życiu. Wiewiórka to małpka północy. Ruchliwość niewyczerpana, pomysłowość diabelska i tych parę cech niby-ludzkich... Skrzyżowanie ssaka z ptakiem, bo patrzy bokiem i fruwa w powietrzu, sterując ogonem. Akrobatka, bo wisi to na jednej łapie, to na dwóch, balansując resztą malutkiego, muskularnego ciała. Gnom – bo mała i psoci. Kot – jeżeli chodzi o wdzięk! Pani Dulka, jeżeli chodzi o oszczędność.

Oszczędzanie to jej hobby, to jej szal. Pasja – obłęd oszczędzania! Mania prześladowcza na punkcie czarnej godziny. I co gorsza – bezwstydną żebranina. Cyniczna żebranina przy pełnej spiżarni. I żeby to jednej...

Siedzę w fotelu i czytam. Miękki skok i oto siedzi mi na kolanach z wyciągniętą błagalnie rączką, nadstawioną właśnie tak, jakby wpaść w nią miało parę wiewiórczych

grosików. Ruch typowo żebraczy. Daje jej z roztargnieniem orzeszek, który gdzieś tam mam przy sobie. Sus w dół ze zdobyczą i ani mowy o jedzeniu. Unosi róg dywanu dwiema różowymi rączkami, trzymając orzech w zębach, wchodzi pod dywan, zostawia tam orzech, opuszcza podniesiony róg, zaklepuje i już jest znów na moich kolanach i znów ta głodna rączka, błagalnie wyciągnięta. Prawie się słyszy: „Litościwa osobo...” Dostaje kawałek cukru. Teraz sus na obraz i z chrobotem cukier za ramkę. I znów jest na kolanach i znów żebrze. Doszło do tego, że zeskakiwała mi na stopę i wyżebrany przysmak chowała do pantofla, do tego, który miałam na nodze, wciskając go przemocą między ciało a skórę obuwia, póki rozgniewana nie odpędziłam natręta.

Taki cnotliwy walor zasługiwał na nagrodę, na odpowiednie stanowisko. Wiewiórka otrzymała tytuł Prezesa Wiewiórczej Kasy Oszczędności, w skrócie WKO, i odtąd nie wołało się na nią inaczej niż „Panie Prezesie”. Przyjęła to stanowisko z godnością i bez zastrzeżeń. Bardzo prędko oswoiła się ze swoim tytułem i kiedy się zawołało: „Panie Prezesie! Szanowny Panie Prezesie WKO!” – przybiegała natychmiast. W chwilach wielkiej czułości nazywało się ją Prezesulkim. Wydaje mi się, że rozumiała pieszczotliwość tego słowa, bo rozumiała niesłuchanie dużo. Wcale nie była głupsza od psa.

Wkrótce wytworzyły się pewne rytuały domowe. Kiedy jedliśmy obiad czy kolację, Prezes wskakiwał na stół, ale sam nie brał niczego, tylko stawał przed każdym z nas, patrzył wyczekująco i żebrał, wyciągając tę swoją różową, małpią rączkę, z długimi pazurkami. Potem jadł skrobiąc otrzymany kawałek skórki od chleba, cukru, jabłka czy orzecha prędiutko, prędiutko, obracając go pośpiesznie w obu rączkach, napoczynając z różnych końców. Czasem się zniechęcał w połowie i ciskał jedzenie byle gdzie, częściej

biegł gdziekolwiek i zakładał nową filię WKO, bardzo chętnie w kieszeniach ofiarodawcy, co było cynicznym objawem lenistwa i obierania drogi najmniejszego oporu. Założywszy nową filię WKO natychmiast wskakiwał z powrotem na stół i zebrał znowu, dowodząc raz jeszcze, że nie prawdziwą pracą zdobywa się majątek. Od pedanterii, chciwości i skąpstwa ratowała go absolutna lekkomyślność. Zapominał na śmierć o swoich filiach, gdzie jedzenie zsychało się lub gniło, podczas gdy Prezes zażarcie, gorliwie szukał wcale nie tam, gdzie posiał, i męczył się na próżno, usiłując podnieść ciężki kałamarz albo róg dużego dywanu, pod którym nic nie schował. Zresztą znarowił się z czasem, zszedł z prostej, wiewiórczej drogi i nie jadł wcale swoich zapasów, tylko żądał wciąż czegoś świeżego. Zakładał jednak nowe filie – sztuka dla sztuki, jak milioner, któremu nie chodzi o zysk, tylko o samą spekulację. Tytuł Prezesa pasował doń jak ulał.

Poprzedni państwo, ci, którzy go oswoili, trzymali go widocznie na surowej diecie, bo kiedy przybył do nas, jadł wszystko prócz mięsa. Potem zaczęły się grymasy. Wreszcie doszło, niestety, i w tej dziedzinie do zupełnego wyuzdania i cynizmu: Prezesulko jadał babkę tylko piaskową (vide niżej, na tym punkcie wszystkie zwierzęta były zgodne), zwykłej, nawet czerstwej, za nic, a poza skórą od chleba, orzechami i owocami uznawał tylko jedno: czekoladki Wedla. Istniała w owym czasie inna firma, produkująca czekoladki: „Plutos”, którą Słonimski nazywał „Wyplutos”. Prezesulko podzielał całkowicie zdanie poety. Odrzucał natychmiast czekoladkę „Plutosa”, natomiast chwycił chciwie czekoladkę Wedla. Nigdy się nie pomylił. Wedel mógł go używać jako reklamy.

Na moim ramieniu siadywał prawie stale, kiedy chodziłam po mieszkaniu albo siedziałam. Przestawał mnie zauważać, kiedy się kładłam. Musiałam mu w jakimś

stopniu przypominać sosnę, ale co za pożytek z sosny, kiedy jest zwalona? To, co leży, jest martwe, a więc wstrętne. Prezes lubił linie pionowe.

Chrobot klucza w zamku był to znak, że mąż mój nadchodzi. Prezesulko jednym susem znajdował się w przedpokoju, wskakiwał na pana i rozpoczynał błyskawiczną rewizję osobistą: kieszonka górna od marynarki, kieszenie boczne, kieszeń wewnętrzną, kieszenie spodni, mankiet przy spodniach. Bystrość i podejrzliwość celnika. Oczywiście w końcu znajdował gdzieś orzech, gryzł go sekundę przez uprzejmość i zakładał nową filię. Po czym znudzony, wiedząc, że nic go od mego męża nie czeka, wracał do pokoju i brał się do dalszych zajęć.

Niestety, czytywał książki. Wolę nie wspominać o grzbietach i okładkach, ale nawet i kartki... Co tu dużo mówić: mimo futrzanej kity zamiast ogona, mimo przepysznego rudego trenu – prosto z rewii z Casino de Paris – jest się myszą i o tym nie pozwalają nikomu zapomnieć chytre, patrzące na boki oczki, zęby starej Angielki, wydłużony, choć ścięty tępo przy końcu pyszczek. Zresztą – sama uroda! Sublimacja myszy! apoteoza myszy, nad-mysz i super-mysz! ale jednak mysz.

Nie pozwalały o tym też zapomnieć kupki malutkich suchych bobków, zostawiane wszędzie, i małe kałużki, wielkości pięciozłotówki, jadowite, bo zżerające politurę mebli. Tak, to były ciemne strony... Ale za to ile radości!

Do największych należały chwile, kiedy Prezesulko wpadał w nastrój dionizyjski: tańczył, śpiewał, szalał! To nadchodziło go od czasu do czasu i wówczas był całkowicie we władzy demona. Nagle sztywniał, wyprężał ogon poziomo, z gardła wydobywało mu się rytmiczne, głośne, dźwięczne cmokanie, łapy zaczynały drobić frenetyczne kroczyki, ogon podrygiwać miarowo. Spróbujcie uderzać

końcem języka o środek podniebienia, o tak! Szybciej! Tak właśnie cmokał Prezes i podrygiwał do taktu. Cmok, cmok, cmok i za każdym razem drygnięcie ogonem. Spazmatyczny taniec łap. To „cmok” było dźwięczne, nie zwierzęce, tylko ptasie, a taniec? Taniec był bachiczny. Trwał krótko. Prezes, zbudzony z krótkiego obłąkania, przystawał na ułamek sekundy, doznawał widocznie wielkiego wstydu, że się pokazał w takim stanie, i znikał, znikał natychmiast w którejś ze swoich kryjówek, najczęściej na gzymsie firanki. Nie wiem, czy ten śpiew i taniec były przejawami zwykłej radości życia, czy obrzędem miłosnym. Być może, iż wabił w ten sposób samiczkę. W dobrobycie i beztrosce, w bezpieczeństwie, którego tak rzadko doznaje wiewiórka, brakowało jej (może jego). To było okrutne. Ale trwała zima i nie można było wypuścić Prezesa, nie posiadającego spiżarni, gdzieś na dwór. Poza tym byliśmy w mieście. Rzec całą odłożyliśmy do wiosny. I co za pomysł – kochać się w zimie? To dobre dla ludzi, którzy w ogóle nie mają zasad. Uczciwe zwierzę kocha się na wiosnę i dlatego myślę, że tańce Prezesulka były tylko bezinteresownym przejawem jego artystycznej duszy i jak wszelki artyzm zrodziły się z pewnej anormalności. Prezes nie spał tej zimy, jak zwykli czynić jego bracia, żył w ciepłym mieszkaniu i dobrze jadł. Cóż mu więc zostało innego niż sztuka?

W tych swoich tańcach i śpiewach był trochę bezwstydnym, obnażał jakieś głębie swojej rudej, futrzanej duszyczki, jakieś zapamiętywanie się, podrygiwanie, jakieś niegodne ssaka odgłosy. Skądinąd rozsądne zwierzę, o tendencjach oszczędnościowych, drobnomieszczkańskich, rozumiejące wołanie, odgłos dzwonka, odróżniające jakość czekoladek, i nagle: nieprzytomne spojrzenie, oszalałe cmokanie, taniec z przytupem. Trwało to jednak zawsze krótko, Prezes nie znosił monotonii, po szaleństwie następowała planowa działalność. Do niej należała ambitna chęć skrócenia

wszystkich nóg od krzeseł – większość z nich była systematycznie podpiłowywana.

Jednakże demon, który objawiał się w chwilach tańca, mieszkał w Prezesie, niezależnie od momentów artystycznego zamroczenia. Pewnego dnia przybiegła do mnie sąsiadka mieszkająca piętro niżej. Trzymała się za serce, głos jej się łamał, musiałam dać jej waleriany. Doznała poważnego wstrząsu. Weszła do swojej sypialni – a przecież drzwi na schody były zamknięte – i zastała ją zdemolowaną. Doniczki z okna pozrzucone, flakony z toalety na podłodze i, co gorsza, pościel na łóżku jakaś skopana, kapa zrolowana, poduszka zaplamiona! Mało tego: kiedy stanęła w rozpaczy, badając wzrokiem niepojęte spustoszenie, z jej własnego łóżka wyskoczył demon we własnej osobie, szurnął jej na ramię, na głowę, zmierzwił włosy i znikł. Można czy nie można było dostać szoku? Sąsiadka okazała się głucha na wszelkie moje przeprosiny i tłumaczenia się. Powiedziała, że nie wolno w mieszkaniu trzymać zwierząt, które zagrażają spokojowi i mieniu obywateli, i że ten skandal musi się skończyć. Bardzo byłam jej oburzeniem przejęta, ale jeszcze więcej pytaniem, gdzie w tej chwili znajduje się Prezes WKO. Drżałam, że może spotkało go coś złego. Gdzie tam! W tej właśnie chwili drapał ostrym pazurkiem do kuchennych drzwi. Wybiegł widocznie na schody zaraz za poszkodowaną, przytaił się na razie, bo miał rozum, a potem wszedł na nasze piętro. Skąd wiedział, że trzeba iść właśnie tam, jak trafił nie do czyich innych, tylko do naszych drzwi – to już tajemnica jego niepospolitej inteligencji. A jak się dostał do sąsiadki? Po prostu skoczył z górnego balkonu na dolny. Cóż znaczy dla niego taki skok!

Trzeba było odtąd pilnować balkonu, poza tym wiosna nadeszła, jasne było, że Prezesa roznosi chęć swobody, że w murach miasta jest mu za ciasno, że las go woła.